№ 9. 2. Marca 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Pobitna pod Rzeszowem.

(Ciąg dalszy.)

III.

Szkoła.

Pieczono, smażono w smole
Nie powiadaj, co się dzieje w szkole.

Wasze dzieci temu tak blado wyglądają, bo je zawcześnie do szkoły dajecie. Dawniej tego niebywało. Do szkoły chodzili chłopy pod wąsem, o dwudziestu kilku latach, i prócz tablicy z abecadłem nosili zwykle półkwartowy miedziany kałamarz na mocnym łańcuszku z grubego drutu, którym wrazie potrzeby nade łbami wywijali. Jednym z takich poważniejszych uczniów w szkołach rzeszowskich ojców Pijarów był znany nam już Marciś Miszczański.

Kiedy szedł ze szkoły, w długiej siwej kapocie, baraniej czapce, z potężnym miedzianym kałamarzem w prawicy, a pod lewą pachą grubego Alwara dusząc, stérczał nad drobnych żaków rojem jak żóraw nad kulikami, sąsiadami swemi na wspólnych błotach. — Dla okazałego wzrostu mianował go też ksiądz rektor „paterfamiliasem" czyli ojcem rodziny szkolnej; trzeba bowiem wiedzieć, że dawniej w szkołach współuczniowie mieli się za braci, a nauczyciela swojego za ojca szkolnego, którego czasami paterfamilias zastępywał.

Takim więc zastępcą był Marciś.

Kiedy niestało prętów lub rózg, narzędzia wedle rady i piosnki OO. Jezuitów do oświecenia uczącej się młodzi wielce sposobnego, ostrzył Marciś swój nożyk kieszonkowy, i szedł w pobliskie krzaki na łysej górze, wybierając co najsmaglejsze i najprościejsze laskowe lub łozowe pręty, albo różczki brzeziny.

Przed przyjściem księdza nauczyciela stał u tablicy z krédą w ręku, napominając braci współuczniów do uciszenia się; a jeżeli napomnienie niepomogło, pisał ich przezwiska na tablicy pod podkreślonym wyrazem: „Garientes" co znaczy: gwarliwi.

Biedny ten, kogo tam napisanego ksiądz profesor wyczytał. — Zaraz bowiem po ukończonej modlitwie wzywającej ducha świętego o pomoc w oświecaniu umysłów — wywoływano gwarliwych na środek izby szkolnej, i zaczynała się najprościejsza scena w świecie. Mimo płaczu bowiem i mimo prożby, brało winowajców dwóch rosłych kollegów jeden za barki drugi za nogi, kładli na koniec pierwszej ławki w poprzek, zakładali fałdy kapoty na głowę; a ksiądz profesor lub na rozkaz jego ojczym szkolnej rodziny, Marciś nasz sławetny — sypał mu basy rzęsiste łozowe albo laskowe na ową część ciała ludzkiego, którą pan Bóg właściwie na siadywanie przeznaczył.

Na krnąbrniejszych był batożek cienki i jadowity jak żmija. — Mieli wprawdzie żacy różne sposoby zrobić nieszkodliwymi basy odebrane; ale rzadko kiedy środki owe skutek uwieńczał. — Mianowicie co do batożka. — Tęm jeżeli komu naukę przylepiono, niepomogło ani przeżegnanie się — choćby najspieszniejsze, ani tarcie o ławkę pokrzywdzonego ciała — ani głaskanie ręką; bolało aż ustało — samo przez się. — Takie to ważne urzędowanie pełnił Marciś w szkole, i miał wielkie znaczenie u swoich współuczniów, zwłaszcza, że się pilnie uczył. — Sam ksiądz rektor lubił go, i nieraz używał do swej osobistej po-

sługi; jako to: do posełki w miasto, do przetrzepania rewerendy, nawet czasami do pasienia kozy na powrozie po dziedzińcu, z którą jako stworzeniem wesołém tysiąc pociech było, a której mleko od suchot chroniące ksiądz rektor za poradą księdza gwardjana Reformatów, miasto żętycy używał. — Komu tę swą żywicielkę w pasterską opiekę powierzył, ten mógł być pewien niezwykłej łaski jego.

Z wszystkiego więc widzimy, że Marciś był na drodze oświaty, znaczenia i łaski u księdza rektora. Niejeden żak mu szczęścia zazdrościł. — Ale czemże to ludzkie szczęście! ot pajęczyną — która jeżeli się nie porwie to się popłącze.

Do owego nieszczęsnego wesela był Marciś najszczęśliwszym z ludzi. — Nauka go cieszyła, a jeszcze bardziej znaczenie szkolne i łaska przełożonych. — Po weselu i smutném onego następstwie jak ręką odjął całą radość serca jego. — Ciągłe wyrzuty sumienia, że on był przyczyną krzywdy brata swego, nie dały mu się uczyć. — Kilka razy raz porazu nie umiał zadania. — Ksiądz rektor odjął mu za to godność ojca szkoły, i posadził do ostatniej ławki. — Niepomogło. — Przyszło więc do tego, że mu kazał klęczeć pod dzwonkiem przy zakrystji. — Chłopcy się śmiali z niego jak jaskółki z sowy. — Niepomogło; owszem zesmutniał jeszcze bardziej, a czasami czuł, że go jakaś złość napadała.

Księdza rektora niepomału dziwiła ta nagła w ulubieńcu zmiana. — Sam nie wiedział, jak sobie ją wytłumaczyć; i poczęści z dobrej dla Marcisia chęci, poczęści z wrodzonej ciekawości postanowił dojść prawdziwej przyczyny. — Był zaś rektor ostrym, suchym i niedostępnym zakonnikiem, mało o świat dbający, a zatapiając się w dogmatyczne rozmyślania nie dziw, że mu wypadki w mieście, mianowicie wypadek starszego Miszczańskiego, zgoła nie był znany. — Z oburzeniem go słuchał, — i złagodził w duszy zdanie o Marcisiu; a powoli powoli wypytując się doszedł do wiadomości, że sprawcą krzywdy brata jego był pan Grzegorz. — Pan Grzegorz był niedawno jeszcze uczniem jego, a nauczycielskie serce bolało nad tak lekkomyślnym ucznia krokiem. — Czekał tylko sposobności pociągnienia go za to do odpowiedzialności. — Sposobność się wkrótce nadała, kiedy Grzesio imieniem ojca swego pana włodarza dóbr książęcych przyszedł z uwiadomieniem, że drzewo do kollegium OO. Pijarów ze zrębów książęcych należące przystawiono, żeby więc ksiądz rektor zlecił odebranie onegoż.

Ksiądz rektor dawszy zlecenie braciszkowi, zatrzymał Grzegorza u siebie, i po zapytaniach o zdrowie księżnej i pana włodarza począł badać przyczyny pokrzywdzenia starszego Miszczańskiego, który tę krzywdę niewinnie ucierpianą tak drogo, bo ciężką niemocą odpłacił.

Grzegorz milczał z początku, lecz na dalsze księdza rektora perswazje wyznał ze łzami, że żałuje błędu popełnionego; tem bardziej, że jak się później wywiedział, Marciś jako sprawca kułaka w ziobra na karę i zemstę zasłużył, którą brat jego niewinny ponieść musiał. Rozumie się samo przez się, że całą winę na Marcisia zwalił i jak tylko mógł najczarniej go opisał.

Ksiądz rektor aż pobladł od gniewu, zmarszczył brwi, i postanowił surowo Marcisia ukarać. — Tej chwili nadszedł ksiądz profesor klasy Marcisia, pan Grzegorz się oddalił a ksiądz rektor naradzał się z księdzem profesorem nad niegodziwością i karą dla Marcisia. — Było to jakoś popołudniu w niedzielę. Nieszczęście chciało, że nazajutrz rano Marciś idąc do szkoły zdybał Grzegorza, który się mimo idąc zdala roześmiał szydersko, i wyrzekł: Ach tożto będzie skóra w robocie! — Marciś nie wiedział co to ma znaczyć, ale ten śmiech i sam widok znienawidzonego człowieka takie niemiłe na nim wrażenie zrobił, że szedł jak pijany, i prawie świata nie widział. — Uczniowie szli właśnie do kościoła, wołani wdzięcznym sygnaturki głosem. — Marciś wedle zwyczaju i powinności poszedł razem z nimi, ale taki był zadumany, że podczas podniesienia — dzwonka nie słyszał i nie ukląkł, aż go koledzy za kapotę ciągnęli. — Wychodzącemu z kościoła szepnął kolega kalefaktor drugiej klasy, żeby się miał na pogotowiu, bo ksiądz rektor widział jego zapo-

mnienie się w kościele, i mruknął coś o batogach. Mrówki przeszły po Marcisiu ale szedł za drugiemi do klasy, i usiadł w ostatniej ławce — trzymając silnie w prawej ręce na mocnym łańcuszku swój potężny miedziany kałamarz.

Niezadługo wszedł ksiądz rektor z dwoma kalefaktorami — batożek wszystkim dobrze znany w zagubach długiej swej sutanny kryjąc. — Wszyscy uczniowie powstali z uszanowaniem, a ksiądz rektor kiwając palcem rzekł: A chodźno tu panie Marcinie! — Marcin zapłonął wstydem, i wyszedł z miejsca na krok, lecz widząc, że kalefaktorowie ławę z pod pieca ciągną, stanął jak wryty, i oczy mu się zaiskrzyły.

Napróżno ksiądz rektor prosił bliżej, mówiąc: Chodźno chodź, kolanka ci na weselu stężały, trzeba cię wysmarować; napróżno rozkazywał; niepomogło. — Każe go brać, lecz kalefaktory boją się przystąpić widząc kałamarz i iskrzące się oczy. — Znudzony w końcu ksiądz rektor, niewiele jak widać o formalności szkolne dbając — przystąpił do niego, rozwinął batożek i smagnął go przez głowę i plecy mówiąc: A wesele, a szturkaniec Grzesia w bok, a krzywda brata, a podniesienie.....

Co za nadto to za wiele! Marciś zgrzytnął zębami, zawinął kałamarzem ponad głową, i nuż księdza rektora w kark — aż się ugiął i aż mu atrament suchą twarz zachlusnął; — a sam w nogi, prosto do Bartłomieja Murskiego na strych i w siano się wkopał.

Ksiądz rektor krzyknął: Miserere mei domine! i chwycił się za kark, chcąc sobie twarz obetrzyć zaczernił ją do reszty. — Ksiądz profesor aby uniknąć zgorszenia, kazał dzieciom wyjść do innej klasy, sam zaś z kalefaktorami odprowadził rektora do pomieszkania przez korytarz, rozebrano, obmyto z atramentu, i położono przelęknionego do łóżka, chociaż mu prócz sińca na karku nic nie było.

Było to zaś jak mówiłem przy poniedziałku, a na zajutrz we wtorek wypadał w Jaćmierzu, miasteczku o cztery mile od Rzeszowa, sławny jarmark bydła. — Bartłomiej Murski wybierał się na ten jarmark, i właśnie chciał konie popaść, — idzie zatem na górę aby siana zrucić, i zruciwszy chce wracać po drabinie, kiedy się usłyszał po imieniu zawołanym.

— Kto tu?

— A ja Marcin.

— A ty tu co robisz?

— A tak i tak — opowiedział mu rzecz całą.

— O kiepsko! rzekł Bartłomiej, nie ma innej rady tylko jedź ze mną do Jaćmierza, bo jak cię hajducy pochwycą to cię na kobylicę wsadzą.

— A dobrze, pojadę — odrzekł Marciś.

— To idźże ukradkiem przez okopisko żydowskie koło cegielni, a dalej krzakami, i czekaj mnie nad brodem u Wisłoka. — Marciś zlazł ze strychu i poszedł wskazaną drogą. — Niebawem nadjechał Bartłomiej wózkiem parokonnym, nienakarmiwszy nawet w pośpiechu, tylko z obrokiem na drogę. — Przejechali Wisłok w bród i okrążywszy most z daleka wzięli się ku północy węgierskim traktem.

Przejechali Tyczyn, Błażową, i pnąc się po górach drożynami wązkiemi i krętemi to nad przepadzistemi brzegami potoka górskiego, to samém onegoż korytem, przyjechali do Domaradza, zkąd się spuściwszy jak z pieca na łeb, ujrzeli Starą wieś — sławne Jezuitów gniazdo — a wkrótce i Brzozów, gdzie u znajomego mieszczanina Szajnoka przenocować chcieli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do S. Z.

Gdy na was patrzę, żal za serce ściska,
Słowa mrą w ustach, źrenica w łzach tonie;
Boście podobni do tego mrowiska,
Które rozprószą nieprzyjazne dłonie.

Mrówki i chwili nie stracą w swem życiu,
Miłością jedne, bez kłótni, zawiści,
Każda z osobna pracuje w ukryciu,
Póki się wspólny zamiar im nie ziści.

Tak, choć im zburzy obca dla nich siła
Ojczyznę wspólną; w dwójnasób zajęci,
Dołożą pracy i wzrasta mogiła,
Wsród jednych dążeń, bez szemrań niechęci.

Wy zaś przeciwnym od mrówek zwyczajem
W wiecznym chaosie błądzicie bez miary,
Niepomni klątwy wiszącej nad krajem,
Zawiść stronnictwa wlewacie do czary.

Z wietrzną lekkością gonicie motyle,
Jakby wam wiosna rozkwitała kwiatem.
Kiedy mech z pleśnią porósł na mogile,
Jutrznia swobody gdzieś znikła za światem.

Rzućcie obozy a wspólnemi siły,
Staniecie skałą z twardego granitu —
Skarbiec wam drogi wyrwiecie z mogiły,
Życie wam wzejdzie w śród pączkow rozkwitu.

Z jednego zródła pijcie zdrowia wody,
Zstrzelcie obozy w jedną wielką całość,
Wspólnie do mety zdążajcie w zawody,
Pomni na miłość, pracę i wytrwałość.

Czas ma swe prawo. Nie trwońcie i chwili.
Każda z osobna ma swe własne życie —
Omdlałe ciało niech każdy posili —
Budowa stanie — wy na życzeń szczycie!

J. J.

Studenci.

(Dokończenie.)

Chciałem odbiedz, ale p. Lonicera rozkazała bym został, mówiąc z wielką surowością:

Byłeś świadkiem i współsprawcą radośnych uniesień, bądźże nim i w cierpieniach; a jak doznałeś rozkoszy patrząc na rozkoszne zachwyty twojej siostry, tak słusznie jest, abyś doznał w części jej cierpień patrząc na pokutującą.

Po tych słowach odżyło cierpienie Zeni w rzewném łkaniu i rzęsistych łzach, łkając mówiła:

Ach p. Lonicero, ja złamałem słowo, które ci dałam, ale nie upadłam tak nizko, jak pani myślisz.

Jakto, rzekła p. Lonicera, czyś nie zaręczała mi po owym wieczorze kiedym ci wzbroniła pobiedz za Jasiem, czyś nie zaręczała, czy nie przerzekałaś mi najuroczyściej na godność kobiety, że nigdy więcej nie dasz się owładnąć namiętności, która może zakłócić szczęście całej rodziny? Widzisz Zeniu moja, mówiła dalej łagodząc ostry swój ton, ja ci już wtedy powiedziałam, że twoja miłość do Jasia nie jest zbrodnią, nie jest występkiem, ani nawet słabością umysłu. Pochwalałam nawet to, że nie zasłaniasz się obłudą ani przedemną, ani przed nim, ani przed sobą — otwartość cenię nad wszystko w uczuciach. I kiedyś mi wyznała, że pierwsza powiedziałaś Jasiowi iż go kochasz, żeś skromnego i nieśmiałego chłopca tém ośmieliła, nie uznałam tego za rzecz niegodną ciebie, bo wiem jak szlachetnie przy tém myślałaś; pochwaliłam cię za to, bo wiedziałam, że nie lekkomyślność, ale szczera miłość pochodząca z ocenienia szlachetnej duszy Jasia zpowodowała cię do tego. Lecz przedstawiłam ci, że będąc tak młodą, pokochawszy tak młodego chłopca, przywiązujesz twoje życie do nadziei płonnych, których ziszczenie albo niepodobne, albo z wielkim zakłóceniem spokoju twojej rodziny będzie połączone. Prosiłam cię abyś okazała tyle godności, tyle mocy duszy, którą zawsze Polki słynęły i słyną, żeby się wstrzymać od dalszego z Jasiem obcowania — i tyś mi to przyrzekła.

Zenia, która dotąd słuchała mowy p. Lonicery z wszelką pokorą pokutującej z całą skruchą grzesznicy, podniosła na te słowa z dumą twarz jaśniejącą anielskim spokojem i czystością sumienia i rzekła:

Zgrzeszyłam, ale moje sumienie mi mówi, że zgrzeszyłam więcej tém, iż przyrzekłam, czego dotrzymać dosłownie nie byłam w stanie. Już wtedy mówiłam pani, że nigdy w mej duszy nie powstało inne uczucie, jak najczystszej miłości, niemal uwielbienia dla Jasia — a sama pani mi to przyznałaś, że niegodniejsze byłoby chcieć wyrugować z serca mojego miłość tak szczerą dla jakichś światowych, czy jak pani się wyraziłaś towarzyskich względów, wzgardzić Jasiem dla tego bo on się urodził synem ekonoma i z nieznakomitego pochodzi rodu; niż rzucać się w objęcia człowieka, któregobym niekochała, tylko dla tego, że go przypadek postawił w jakich świetnych stosunkach. Powiedziałam, że wolę nigdy nie ślubować nikomu, niż łamać śluby które samo niebo między nami zawiązywać się zdaje. Prawda, przyrzekłam nie obcować z Jasiem, i świadczę się Władziem, żem tego nigdy nie czyniła; ale teraz kiedy Jaś pragnął pożegnać się ze mną na zawsze, kiedy on ugiął swoją wielką duszę pod twardą konieczność i z woli ojca zostać ma księdzem, myślałam że jest moim obowiązkiem raz jeszcze, ostatni raz w życiu pokazać, żem była godną jego miłości, że go nie odpycham od siebie, że potrafię przenieść ten cios nieba, który nas na zawsze rozłącza.

Mogłaś to innym sposobem uczynić, nie zezwalając na schadzkę...

Zenia na to z tą samą pokorą co przedtém, schyliła główkę mówiąc:

W tém zawiniłam...

Wtedy przepełnione serce moje nie dozwoliło mi dłużej milczeć i odezwałem się:

Pani, Zenia niewinna temu ani Jasio, najprędzej jeszcze ja winien jestem, bo zaręczam, że schadzka ta niebyła między niemi umówiona, ja tu z Jasiem przyszedłem i tu niespodzianie zastaliśmy Zenię...

Zenia nie zmieniając swojej klęczącej postawy chwyciła mnie za rękę i ściskając ją z zapałem mówiła:

Nie zawstydzaj mnie Władziu, tyś nie przyjął pośrednictwa

którem cię i Jasio i ja obarczyć chcieliśmy; a my oboje choć nie ustnie, to sercami, to przypomnieniem innych błogich chwil umówiliśmy przez jakieś przeczucie tę schadzkę między sobą; i on wiedział, że mnie tu zastanie, i ja wiedziałam, że on tu przybędzie, choć ty niechciałeś nas o tem zawiadomić — ty byłeś przez twoją obecność tu naszym aniołem stróżem — tobie się należy zasługa, że wychodzę z tąd czysta, jak tu weszłam...

No dosyć tego, rzekła p. Lonicera wzruszona, ja widzę że wasza szlachetność każdego rozbroić musi; nieuwierzysz Władziu jak się cieszę, że i w tobie znajduję w tak młodym już wieku tyle męzkiej godności — podała mi rękę, którą z najgorętszym ucałowałem zapałem, potem zwracając się do Zeni i podnosząc klęczącą, rzekła uroczyście:

Więc ostatni raz widziałaś się z Jasiem — i lekki uśmiech przeleciał po jej ustach. Zenia odpowiedziała zapłoniona niepewnym i drżącym głosem:

Ostatni.

Przeminąwszy tak uczuciową burzę, udaliśmy się ku domowi, ja pobiegłem naprzód, bo mnie wołano do mego ojca. Zastałem go w największym wzruszeniu, ze zmienioną twarzą, przygasłem okiem i głosem stłumionym; kazał mi wsiąść do zaprzężonej dorożki, w której już siedział nasz domowy lekarz dopiero co z miasta przywieziony i jechać największym pędem na leśniczówkę. Chciałem się dowiedzieć, jakie mi daje zlecenie, ale żadnych pytań nie słuchał, tylko rozkazał spieszyć co konie mogą wyskoczyć.

Ze ściśnioném sercem jechałem po łąkach, bezdrożach, przez gęstwiny leśne; konie zdawały się dzielić niespokojność moją i rozumić konieczność pospiechu, bo pomimo wielkiego zmęczenia, leciały galopem i niosły nas z największą pewnością po drodze, po której innym razem ani bym się odważył jechać, choćby krok za krokiem.

Stanąwszy przed leśniczówką, zastaliśmy mnóstwo ludzi, chłopów i strzelców finansowych, gwarzących i tłumiących się przy wchodzie. Wcisnąwszy się z trudnością do wnętrza, weszliśmy do otwartej izby przez wyłamane drzwi.

Tam siedział przy stole pan Schleicher w mundurze i pisał protokół wypytując ludzi jednego po drugim, na jego twarzy znać było największe przerażenie i smutek. Gdyśmy weszli wskazał milcząc na drugi pokój, w którym spostrzegłem po środku na ziemi — trupa męzkiego. Krzyknąłem z przerażenia, a ochłonąwszy dopiero rozpoznałem wszystko.

Trup ten leżał rozciągniony, w ręku trzymał jeszcze konwulsyjnie ściśniony pistolet, twarz miał poszarpaną do niepoznania, na powale i ścianach były świeże plamy z rozbryźniętego mózgu z krwią, a na podłodze walały się szczątki ztrzaskanej czaski w potoku krwi; po sukniach poznałem pana Achille.

Koło niego krzątał się Józio, pomagał go obmywać i zdejmować zeń zakrwawione suknie: Spytałem Józia: Przebóg co to jest?

Józio pobladły, ze łzami w oczach, nic nie odpowiedział, tylko wskazał milcząc na kupkę spalonych papierów w kącie a potem utkwił wzrok we drzwiach za mną; obejrzałem się i spostrzegłem p. Schleichera, który właśnie był wszedł. P. Schleicher wziął mnie za rękę, a gdy ja pytałem niespokojnie co to wszystko znaczy, rzekł z zadziwieniem:

Cóż to Władzio nic niewie? p. Achille się zastrzelił, aby ujść ręce sprawiedliwości — to jest szczęście dla was — dodał szepcząc, a sam sobie winien, sam sobie winien... miał czas ratowania się... już to i panna Jadwiga...

Cóż się dzieje z Jadwisią? zapytałem. Zamiast mi odpowiedzieć, jednak rzekł p. Schleicher do lekarza wracającego od zabitego Achille wskazując na drzwi na przeciw nas sienią przedzielone.

Idź pan lepiej do panny Jadwigi, tam pan potrzebniejszym jesteś — tu niema co robić, a na *visum repertum* czas będzie jeszcze. — Poszedłem za lekarzem do przeciwnej izby, gdzie okna grubo zasłonięte, zaledwie dozwalały poznać osoby tam będące. Jadwisia leżała na łóżku, koło niej siedziała p. Deborah a p. Ludgarda przyspasabiała jakieś lekarstwo. Gdym przystąpił, Jadwisia podała mi rękę gorącą, suchą, marmurowej białości, poprzeżynaną sinemi żyłkami, taka sama była jej twarz. Scisnęła mnie lekko i potok łez spłynął jej po twarzy.

Lekarz mi nie pozwolił dłużej zostawać przy niej, aby nie dawać powodu do wzruszenia. Wyszedłem więc, a za godzinę kazano mi pojechać do domu, aby zaspokoić rodziców, że Jadwisia żyje. Dopiero pojąłem przerażenie moich domowników, i z rozrywanych opowiadań rozmaitych osób doszedłem właściwego stanu rzeczy.

Na drugi dzień odbył się w cichości pogrzeb p. Achille, a mnie wysłano z Józiem zaraz do Lwowa do szkół, choć wakacje jeszcze trwały, abym nie był świadkiem dalszych domowych scen. Siostry młodsze t. j. Zenię i Tecię wysłano z p. Deborą Right w sąsiedztwo do przyjacioł domu naszego p. Piotrów; p. Maurycy gdzieś zniknął, a przy matce zostały obie starsze siostry z p. de la Laiterie i p. Lonicerą. Panna Ludgarda wyjechała do poblizkiego miasteczka.

Tak skończyły się wakacje pamiętne r. 1835 a z niemi jedna perjoda mojego życia. Odtąd nastała całkiem inna. Smutne rozwiązanie stosunków między Jadwisią a p. Achille a zawiązanie niemal równie smutne stosunków między Zenią a Jasiem były w moim życiu, czem jest burza po długo trwałych upałach. Przejrzałem przez ciemnotę dotychczas mój umysł otaczającą, a skutek tych wakacyj był na moje usposobienie większy niż piętnaście lat wychowania pod żelazną ręką p. Drypuszyńskiego i patrjarchalnym rygorem ojca.

Niechcę czytelników Tygodnika nudzić dalszą powieścią jak starsze pokolenia i dziejowe stosunki olbrzymim wpływem swoim na życie pojedynczych, wychowywały ze mnie i mo-

ch rowienników nowe pokolenie, jak zmierzch powszedniego życia bywał nadal rozwidniany promiennym blaskiem i wstrząsany piorunnym odgłosem wielkich dziejowych zdarzeń. Ograniczę się tylko w następujących numerach tego pisma na streszczoném przedstawieniu dwóch zdarzeń, które tak antypodycznie wtargnęły się w jednostajne dotąd pasmo życia mojego: jedno swoim zakończeniem, drugie rozpoczęciem się. Opowiem więc krótko romans Jadwisi i Zeni.

Przegląd literacki.

Doszedł nareszcie rąk naszych poszyt XI. *Przeglądu poznańskiego* z roku 1849 (za miesiąc Listopad); zostawiając więc poprzednie zeszyty naszej „*korespondencji literackiej*" jak wszelkie inne dawniejsze pojawy pismiennictwa, zastanowimy się cokolwiek nad tym poszytem.

Dziwna a nawet może śmieszna wydałaby się nam polemika w rozbiorze „*Kroniki Stryjkowskiego wydanej w Warszawie 1846 r.*" przeciw *Jana Daniłowicza* jeszcze śmieszniejszym twierdzeniom, jakoby Litwa tém dowiodła „*głębokiej polityki*" że zamiast wznieść swój język do pismiennictwa, przyjęła pismienną mowę Rusinów, których zwyciężyła — śmieszna mówię wydałaby się nam ta cokolwiek cierpka polemika, gdyby jej nieusprawiedliwiały: 1° zamachy p. Daniłowicza, źle ukryte pod tym historycznym płaszczykiem, przeciw polskiemu językowi i narodowości, 2° drażliwość jaka nas wszystkich w ruskiej kwestji w obecnym czasie owładnąć musiała.

Mylne bowiem jest w ogóle przypisywanie zdarzeń historycznych sumieniu lub rozsądkowi jakiego pojedynczego narodu, albo szukanie w dziejach narodów zamiarów, samowolnych postanowień sądu i wyboru środków. W dziejach narodów przedstawia się daleko wybitniej niż w życiu pojedynczych ludzi ich zależność od dziejowego życia całej ludzkości, i wpływ ogółu ludzkiego przeważa tak dalece, iż samowolność pojedynczych narodów prawie zupełnie wgłąb wstępuje.

Dzieje mają swoje prawo przyrodzone, którego nigdy naród pojedynczy nie jest w stanie przekroczyć, i ani wbrew temu prawu się utrzymać ni też niweczyć nie może.

Ta jest zasada dziejów wyrzeczona już przez *M. Mochnackiego* i przez *A. Cieszkowskiego*.

Dla tego nie przyznajemy ani „*głębokiej polityki*" Litwie jak p. Daniłowicz w tem, że odrzuciła swój język i że nie wzniosła swej pięknej mowy do pismiennictwa, ani jej tego niemamy za grzech jak chce *Przegląd poznański*, za który Litwa miała ponieść ukaranie. Nie myślimy żeby Litwa, gdy opanowała Rusinów orężem *upadła* przez umysł, ale że nie stała na tym stopniu oświaty, ażeby Rusinów także umysłowo opanować przez przyjęcie ruskiej oświaty, wtedy Litwa postąpiła, jak postąpił zwyciężający orężnie Rzym przez przyjęcie greckiej oświaty, jak postąpiło pokolenie frankońsko-germańskie zwyciężające nad Rzymem przez przyjęcie rzymskiej oświaty, jak postąpiła Ruś przez przyjęcie polskiej oświaty.

Z tego wszelako co wtedy koniecznie z rozwoju dziejów wynikało, mylnie bardzo wnioskowałby p. Daniłowicz, że ruska oświata dziś góruje na Litwie lub że górować powinna; a *Przegląd poznański* niesłusznie w przyznaniu wyższości Ruszczyznie nad litewską oświatą w owych czasach obawia się uszczerbku polskiej narodowości w dzisiejszych. Nieprzeczmy tego co było, abyśmy mieli prawo bronić się przeciw zaprzeczaniu tego co jest.

Przegląd może i nam zarzucić nieprawdziwość i niedowodzenie naszego mniemania, teoretyczność w twierdzeniach. Ale na to, co jest stwierdzone dziejami świata, nietrzeba dowodów z kronik, a teorja z tych dziejów wysnuta i w nich wyczytana, nie jest abstrakcją; jest to odgadnienie planu opatrzności w dziejach — tego odgadnienia zasługę, powtarzam, nie przypisuję sobie, jest ona owocem pracy wielu wieków i mężów w których poczecie i nasz naród niepospolitych liczy ludzi jak: Mochnackiego i Cieszkowskiego.

Dalej zawiera ten zeszyt dokończenie artykułu „*O administracji francuzkiej.*" Jestto znowu ważny ustęp z dziejów obecnych o którym innym razem obszerniej pomówić wypadnie.

Artykuł „*Nieco o Szląsku*" daje nam obraz ruchu narodowości polskiej w tym przez nas podobno zbyt zaniedbanym kraju.

Zawiera wyciąg z artykułu w Bibliotece Warszawskiej, z którego dowiadujemy się, że Szlązk ma swoich geografów i swoją statystykę, *czego Galicja dotąd nie ma* — że Szlązk pruski mający połowę tej ludności co Galicja (przeszło dwa miljony), której ledwie trzecia część jest polska (700,000) ma *ośmnaście* polskich księgarni (Galicja z Krakowem razem nie ma więcej), wydaje *pięć* polskich pism czasowych, a książeczek modlitewnych lub politycznych odbijają *najmniej* w 3—4000 nakładu; i tak znaczna ilość przez sprzedaż na odpustach i jarmarkach się rozchodzi, a niejednej broszurki już kilka wydań zupełnie wyczerpnięto.

W liście autora artykułu tego p. J. Łepkowskiego do *Przeglądu poznańskiego*, znajdujemy prócz tego wiadomość „*o towarzystwie pracujących dla ludu górno-szlązkiego*" zawiązanym przez starania p. *Karola Kosickiego* (Niemca), Lompy, Smołki i red. dziennika górno-szlązkiego, które w pięciu miejscach założyło czytelnie (w Bytomiu, Lubieńcu, Woźnikach, Rybniku i Mysłowicach), prócz tego istnieje w Bytomiu „*klub narodowy*" a w *Niemieckich Piekarach* „*Religijne towarzystwo Marjańskie.*"

Dziennik górno-szlązki — szamocąc się przez rok przeszło z niedostatkiem funduszów, upadł obecnie — „czyż się nie znajdzie, pisze p. Łepkowski, w szerokiej Polsce nikt, ktoby

dla oświaty Szlązka coś chciał poświęcić, wskrzeszając to pismo?

„*W Szląsku Austryackim* Dr. Klucki zjednał sobie zasługi wydawaniem *Tygodnika Cieszyńskiego* — założeniem *Towarzystwa uczących się po polsku* — a wreszcie czytelni polskiej."

Nakoniec użala się p. Łepkowski, „iż łatwiej przyszło wzbudzić w Szlązku narodowe dążenia — aniżeli wymódz prożbami na publiczności polskiej, aby je popierać niezaniedbywała."

Krytyka: *Siedm psalmów pokutnych w duchu Dawidowym, ułożonych do śpiewu p. Wincentego Pola.* (*We Lwowie, w drukarni zakł. Oss. 1849*).

Krytyka ta niestety wydaje nam się aż nadto słuszna, dla tego tylko przytoczymy słowa *Przeglądu* własne: porównywa krytyk przekład p. *Pola* z przekładem prozą z *Ołtarzyka polskiego* i uznaje słusznie, iż przekład p. *Pola* jest tylko ułożeniem znanej już prozy w mowę wiązaną, z przydatkami niektóremi, które nie są, „bynajmniej rozszerzeniem w duchu Dawidowym, ale prostém pomnożeniem wyrazów, często nawet niestósownem, do czego autor ucieka się jedynie z przyczyny, iż inaczej brakłoby mu wiersza lub rymu." — Zarzuca pośpiech i niedokładność, nie posądza o lekkomyślność, ani zarozumienie ani domyśla się, że „co autor dorywczo sam dla siebie rzucił na papier, to poźniej natręctwo innych, które dziś tak zuchwale sięga do teki ulubionych pisarzów, na jaw wywiodło."

Potwierdzamy ten domysł tém śmielej, iż z każdym dniem prawie doświadczamy tego natręctwa, które się napiera, abyśmy „sięgali zuchwale do teki ulubionych pisarzy."

Jestto dowodem wielkiego braku w wykształceniu, że o wartości dzieł zwykle sądzimy podług podpisu autora, nie zaś podług treści, i utwory ulubionych i słusznie wysławianych autorów, choćby bardzo błahe, czytamy z tém uprzedzeniem, że muszą być dobre; utwory zaś nielubionych imion zostawiamy nieczytane, sądząc iż nie mogą być dobre.

Z „Pieśni" wyszłej u Stefańskiego przytacza *Przegląd* piękny ustęp. O tej później mówić będziemy.

Dalej przytacza 14 dzieł religijnej treści wyszłych w Szlązku. Nowy dowód, iż w Szlązku więcej czytają niż u nas.

Wiadomość o „*programie gymnazium Stej Maryi Magdaleny w Poznaniu na r. 1848— 9*" zawierającym uczoną rozprawę o senacie rzymskim p. Czarneckiego, przypomina boleśnie, że u nas podobne programy są rzeczą nieznaną, tem mniej po polsku pisane. Do tego polskiego gimnazyum przybyło pięciu nauczycieli Polaków.

Nakoniec rozbiór kilkunastu broszur niemieckich i francuzkich politycznej treści, ściągających się do najnowszych stosunków Polski, Węgier, Słowiańszczyzny.

Między temi uderzyły nas prócz znanej broszury Szuzelki „Deutsch oder russisch," Geschichte des Illirismus oder des südslawischen Antagonismus gegen die Magyaren von *Dr. Wacksmuth* „ze stanowiska madziarskiego napisane."

Le paix et la guerre p. *E. Chojecki.* Przegląd zarzuca p. Chojeckiemu, iż stanąwszy na trójnogu ostatecznego radykalizmu europejskiego, wyrokuje i prorokuje w namiętnej odezwie w której między innemi walkę o narodowość nazywa *szaleństwem naszych czasów.*

Lettres à M. Emile Girardin sur la question polonaise p. Pfeffel „wybuch nienawiści niemieckiej" nakoniec *Denouement suprême de toutes ler questions sociales politiques et financières par un Polonais.*

O tem dziełku *Przegląd* mówi, że autor targnął się na rozwiązanie wszystkich najtrudniejszych zadań ekonomiczno-społecznych i przynosi teoryą, mającą na celu istniejące na świecie stosunki z gruntu odmienić. Jest socyalistą w zasadzie i zastosowaniu..... komunizm jest tu ostatnim słowem, jest celem ludzkości.

Ten zeszyt zawiera jeszcze obszerny nekrolog i krótki rys życia *Chopina.* Wiadomość o śmierci *Stan. Chrzanowskiego*, współpracownika niegdyś *Tygodnika literackiego*, autora dramatów: *Zebrzydowscy; Sąd kapturowy; Ostatnia z książąt Rożyńskich; Szpieg; Rzeź galicyjska; Konfederacya barska; Chłop, pan i żyd;* powieści: *Puławscy* i poematów: *pan Sawa, pan Puławski.*

Nakoniec protestacyę przeciw „*apostazyi*" jenerała Bema i „*o exekucyach w Węgrzech.*"

Dowiadujemy się z *Warszawy* o wyściu następujących dzieł: *powieści starego nauczyciela* dla swoich młodych przyjaciół przez *T. Dziekońskiego*, b. Dyrektora Gyminazjum, w Warszawie u Mercbacha, kosztuje złp. 9. W Alpach i za Alpami przez p. Łucją Rautenstrauch (z Giedrojców) tamże — z 12 rycinami na stali, koszt. złp. 36. Obadwa dzieła doczekały się drugiego wydania. Prócz tego drukuje p. Orgelbrand, kronikę polską z X. wieku p. W. A. Maciejowskiego.

S. H. Merzbach zamierza wydawać w ozdobnej edycyi z drzeworytami, stalorytami, kolorowemi rycinami dzieło obejmujące opisy krajów i okolic, ciekawe podróże i artykuły w tym zakresie naukowe pod tytułem „*księga świata.*"

P. J. J. Kraszewski oprócz dawniej zapowiedzianej powieści „*Jaryna*" przygotował do druku powieść w jednym tomie pod nap. „*Tomko*" która się ma drukować we Lwowie (?). Jego dzieło: „*Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*" wyjdzie w Paryżu ozdobione rycinami, staraniem J. K. Wilczyńskiego. Tenże autor pracuje obecnie nad: „*Słownikiem artystów*" i „*Ikonotheką Polską.*"

Częściowo drukowana powieść w *Tygodniku Petersburskim* p. n. *Dziwadła* ma być wydaną oddzielnie w dwóch tomach.

Gagatek.

Portrecik

Gagatek jest ładny chłopiec, na jego nizkim czole siedzi lekkomyślność, a w oczach błyszczy jakaś iskra z poza wielu

zasłon próżności, zarozumienia, pychy (nie dumy — broń Boże — Gagatek nie jest dumny jak orzeł, tylko pyszny — jak indyk), czczości i t. p. Ta iskierka błyszczy jak błędne światło w nocy pośród grubej mgły, bo w głowie Gagatka jeszcze słońce nie wzejszło; a jego serce otoczone jest grubą mgłą, która się jeszcze nieskropliła, bo jeszcze nie było różnicy w temperaturze między zimnem otaczającego świata a gorącem jego serca — nieskropliła się i niespadła rzęsistym deszczem gorzkiego płaczu na duszę Gagatka.

Czy Gagatek nie płakał nigdy? O płakał jeszcze niedawno, czyli raczej beczał, o! jak dziecko, student — płaczem bojaźni, złości, przekory; ale płaczem miłości, płaczem serca wielkiego — nawet małego — jeszcze nigdy nie płakał.

Więc jest jakaś iskra w oku Gagatka, z tej można wnioskować, że w jego duszy jest trochę poezji — ale ona spi. Panny lubią czasem oczy iskrzące, a Gagatek lubi — podobać się pannom, ale nie wie biedaczek jak dodać ognia swym oczom. A gdyby wiedział, że na to trzeba rozżarzyć w duszy ogień zapału, trzeba dużo przecierpieć i dużo przepracować, to by — zrzekł się i oczu iskrzących, bo Gagatek jest leniwy. On ma imię, a imię wiele znaczy, przed imieniem otwierają się drzwi do świetnych salonów. — Gagatek lubi salony, ale jakie? Rozumi się, że nie te głupie salony, gdzie nawet w czamarze być wolno i siedzieć bez rękawiczek, gdzie bywają nawet ludzie wątpliwego rodowodu, gdzie bywają artyści, literaci, lekarze, adwokaci i i., jednem słowém *proletarjusze.*

Gagatkowi bardzo do twarzy kiedy wymawia słowo: *proletarjusz,* on wtedy jeszcze mocniej niż zwykle cedzi przez zęby, przykrzywia jeszcze więcej swoje usta w których zawsze się maluje *znudzenie* i *przesycenie,* przekrzywia je tak mocno, że myślałbyś, iż Gagatek mdłości dostaje. A przecież przed rokiem albo dwoma nie jednego *„proletarjusza"* Gagatek po rękach całował i dziś boi się jego spojrzenia, jak niedawno jeszcze bał się rózgi. Za to Gagatek się mści o sobie mówiąc używa wyrazu *„my,"* przyczem zawsze rozumi siebie z towarzystwem wielu *„kawalerów"* a tych co się do *„kawalerów"* nie liczą, nazywa po prostu *„oni"*... Gagatek jest elegant, Gagatek bardzo dobrze tańczy — a czy uczy się czego? wszak jeszcze młody — o nie — Gagatek już jest skończony i *pójdzie wkrótce za mąż.* Jakto? — Bo Gagatki mają się do wszystkich kobiet tak, jak się mają słabe (moralnie) kobiety do *mężów,* (rozumie się moralnie silnych).

F. N.

TEATR.

Od niejakiego czasu nie pojawiło się na naszej scenie nic, coby uwagi bardzo godném było. Chyba że chcielibyśmy rozebrać na nowo przedstawienie *Żydów* lub *Starego męża* albo *Uriela Akostę,* którego po drugi raz temi dniami dawano. Nie możemy stłumić uwagi często się przy powtarzaniu sztuk nasuwającej, że artyści nasi takowe z jakimś zaniedbaniem grają, tak iż sztuka poważniejszej treści, którą dopiero po kilkakrotném słyszeniu i widzeniu dokładnie ocenić można: zamiast zyskiwać coraz więcej, właśnie traci na powabie im częściej ją powtarzają.

W operze tutejszej pojawił się nowy śpiewak, tenorzysta p. Eppich, który wystąpił pierwszy raz w roli *Roberta Diabła* dnia 26. Lutego. Nie łatwo jest osądzić jego zdolności podług pierwszego wystąpienia. Z jednej strony bowiem pewni jesteśmy, że ten raz niezawodnie wystąpił w roli w której jest najmocniejszy, a zatém może się jeszcze wiele błędów w nim ukrywać. Z drugiej strony przemawia za nim, że zwykła przy pierwszém wystąpieniu nieśmiałość, nie dozwoliła mu rozwinąć talentu w całej świetności, tém bardziej, że nie znalazł wsparcia ani w p. Hammermeister (*Alice*) ani w p. Draxler. Jakże wielka różnica jest między *p. Hammermeister* a *p. Ney* która występując niedawno w dwóch rolach naraz (Alice i księżniczki), elektryzowała publiczność swoim śpiewem, mianowicie w duecie i tercecie 2go a w tercecie 3go aktu. Prócz tego była p. H. jako chłopka z 12. wieku bardzo niestósownie ubrana, cała w jedwabiach. W tém że p. H. nie odpowiadała swojej roli, przezco i rola p. Ep. gorzej się wydała, jest wina dyrekcyi. Zresztą p. Eppich ma wydatny piersiowy głos, śpiewa z większą łatwością niż p. *Erl,* chociaż mu nie zupełnie wyrówna. Mianowicie recytatywy są słabą stroną p. Ep. Z tego pierwszego wystąpienia wnioskować jednak można że p. Ep. godnie zastąpi p. Erla.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.